

Wanda Jeziorska
WSPOMNIENIA



Przyjechałam z dalekiej, pięknej Gdyni. Pięknej nie tylko obecnie (przecież coraz piękniejszej), ale w tamtych czasach, w końcu lat pięćdziesiątych, szczególnie atrakcyjnej. Kiedy w innych miastach Polski po wojennej traumie było jeszcze szaro, buro i przygnębiająco, w mojej Gdyni ulice były już wesołe, kolorowe głównie za sprawą przybywających statków z zachodniej granicy. Ulice rozbrzmiewały bowiem różnorodną mową tych „zachodnich” marynarzy. Rozweselali oczy pięknymi mundurami. Każdy mężczyzna w galowym stroju marynarskim wyglądał wspaniale, a gdy jeszcze do tego dochodziły dystynkcje – nic dziwnego, że wzbudzali sensacje. Wszyscy się za nimi oglądali.

Wyjechałam z Gdyni do Częstochowy z konieczności. Miałam bowiem zdaną maturę w szkole „Urszulańskiej”. W tamtych czasach był to wilczy bilet w kierunku studiów, a ja koniecznie chciałam być inżynierem. Cóż było robić – skoro w Częstochowie łatwiej było się dostać. Tak zaczął się mój romans z częstochowską uczelnią.

Początki były trudne – nie powiem. Ja, po szkole „zakonnej” bez absolutnie żadnego przygotowania technicznego, nie znałam nawet pisma technicznego – nie potrafiłam. Asystent Tadeusz Warwas stale odrzucał moje projekty. Pomagali mi Koledzy, a Warwas pewnie uwierzył, że ja opanowałam wiedzę i pismo techniczne. Uf !! – pierwszy szczebel, z bólem, ale przeskoczony.

W tamtych czasach była świetna atmosfera na uczelni; przyjazna, zachęcająca. Były to czasy, gdy rektorem był prof. Jerzy Kołakowski – duża kultura i fajny chłop. Lubił mnie, zauważał (kobiet było mało). Gdy bywał w swojej Katedrze na Wydziale Budowy Maszyn zapraszał swoich asystentów na „herbatkę”, a oni zabierali mnie i czasami szliśmy do profesora dowcipkować – dzisiaj aż trudno w to uwierzyć.

Profesor Oskar Michejda, ten „od mechaniki” ostry, wymagający, bałam się go, ale był życzliwy. Kiedyś na egzaminie powiedział do mnie – na bezrybiu i rak ryba – daj indeks. Niewielu wtedy zdało egzamin.

Profesor Antoni o nazwisku Pietraniec – jakież to był dowcipniś i przyjaciel studentów. Wszyscy go na pewno pamiętają i zawsze mile wspominają.

Ale jak się rzekło – było trudno. A no właśnie!

Pierwszy semestr. Jak przeskoczyć tę geometrię wykreślną, jak zaliczyć, jak zdać potem egzamin. Ale jak najpierw ją zrozumieć? Na Politechnice przecież – nic na pamięć. Jak wyrobić sobie wyobrażnię przestrzenną, wzajemne przenikanie brył, te kąty obliczenia, przeliczenia, itd. – czarna magia – wydawało się.

Było nas dziewcząt na roku mało, chyba tylko 14 (sztuk), to ułatwiało trochę kontakt z chłopakami. Ich było ponad setka (100). Zawsze więc, któryś coś wytłumaczył, pomógł, zachęcił, a ja „zapałam się” i powoli w głowie rozjaśniało się. Semestr zaliczyłam nawet bez problemów. Ale po pierwszym semestrze jeszcze bałam się, zgodnie z założeniami, wrócić do mojej Kochanej Gdyni i przenieść się na Politechnikę Gdańską. A po drugim semestrze przyczyna była już zgoła inna. Tak jak wspomniałam, było nas na roku dużo studentów. Nie wszystkich znałam. Grając kiedyś w akademiku w brydża, któryś z nich zapytał mnie, czy może mnie odprowadzić. Ja wówczas idąc spytałam go, czy nie boi się egzaminu z geometrii wykreślną – bo ja bardzo się boję. Usłyszałam wówczas - ja już zdałam, więc nie muszę się bać. Jak to, skoro sesja się jeszcze nie zaczęła, zdałam kilka lat temu- usłyszałam, ja już pracuję na Uczelni.

Mina mi zrzędała, zawstydziłam się że tak obcesowo z nim rozmawiałam. Ale wyglądał młodo, tak jak my wszyscy.

I tak od tego spaceru zaczął się dla mnie inny czas. Był to bowiem Leopold Jeziorski - późniejszy mój mąż.

Następne lata studiowałam już jako Wanda Kurowska – Jeziorska. Wesołe to były czasy. Mój mąż świetnie tańczył, często wygrywaliśmy wspólnie konkursy tańca. Zawsze czuliśmy sympatię studentów, lubili nas. Dwa lata po naszym ślubie Leopold obronił pracę doktorską – głowę miał zawsze dobrą. Jego osobiste cechy: serdeczność i wyjątkowa życzliwość w stosunku do otoczenia dawały mu mandat do awansów. Był cenionym dziekanem, prorektorem. Jego siłą była wiara w sens pracy i rozwoju, rozwoju człowieka i nauki. Mnie również zachęcał, dopingował i dzięki temu osiągnęłam pełną satysfakcję w codziennym życiu i w pracy ze studentami. Życzliwość studentów i wzajemna sympatia towarzyszą mi do dzisiaj. Ich aplauz obecnie przy różnych spotkaniach daje mi dużą radość

i satysfakcję. Dzisiaj mam pięcioro wnucząt i serdecznie dbające o mnie dzieci. Dzieci, które bardzo płaczą po wspomniałym, ukochanym tacie, który odszedł od nas w sierpniu 2016 roku. Smutek po nim łagodzą wspomnienia jak był szanowany i doceniany uzyskując tytuł Honorowego Konsula AGH jak również dwukrotnie otrzymał tytuł Honoris Causa (dwóch uczelni). A obecnie, niedawno w czerwcu 2018 roku największa aula na Wydziale Metalurgicznym, na którym całe życie pracował, uzyskał patronat Jego imienia – Leopolda Jeziorskiego.